ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 16-go Września 1897. Nr. 37.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem na prośbę Kandyda posłał dyakon Sewerus jednego grabarza do wsi, aby postarał się o wóz dla Ireny i Waleryi. Szczęśliwie wóz dognał podróżnych, a wtedy obie niewiasty usiadły. Kandydus zaś dosiadł swego konia, gdy tymczasem reszta wiernych postępowała pieszo.

W owym czasie była przestrzeń od łazienek Karakali aż do bramy apijskiej i po za nią, która dziś jest opustoszałą, gęsto zaludnioną, a obok starego grobowca Scypionów i cmentarzysk wyzwoleńców Augusta wznosiły się w wielkiej liczbie domy, pałace i wile. Im bardziej zbliżał się Kandydus i obie niewiasty ku miastu, a szczególniej gdy wjeżdżali w zaludnione ulice, tem bardziej uderzała ich powszechna radość panująca pomiędzy ludnością z powodu strącenia nienawistnego tyrana. Oni sami byli przedmiotem powszechnego zaciekawienia i podziwu; urodziwy trybun z wojska Konstantynowego jadący na swym szlachetnym rumaku jako opiekun i towarzysz obok nędznego wozu wiejskiego, na którym siedziały dwie dość licho ubrane niewiasty, stanowił dla wszystkich ciekawą zagadkę. Szczególniej kobiety i dziewczęta wysuwały głowę, wpadając na różnorodne domysły, aby zagadkę rozwiązać.

Gdy zaś ten ciekawy orszak mostem na Tybrze puścił się drogą wiodącą do Zatybrza, gdzie, jak do dzisiaj, rozwijało się głównie życie klas uboższych, gdzie rzemieślnicy pracowali przy drzwiach otwartych a przekupnie i przekupki wystawiali swoje tandety czy jarzyny przed domami na sprzedaż, wtedy zapanowało tam niemałe poruszenie. Dzieci i dorośli nie mając nic lepszego do czynienia, puścili się za wozem, aby się dowiedzieć, dokąd ten ciekawy orszak jedzie. A gdy w dodatku jeździec i wóz skręcili w jeden z najnędzniejszych zaułków, gdy następnie zatrzymali się przed chatą Mincyusza i niskimi drzwiami weszli do niej, wtedy ciekawy lud cisnął się z wszech stron, aby rzucić choć okiem do wnętrza chatki. Kilkadziesiąt razy musiał chłopiec pełniący obowiązek woźnicy przy wozie wiejskim, zapewniać, że nie wie, kim jest ów dostojny jeździec i jego dwie towarzyszki. Jedna z sąsiadek przypominała sobie wprawdzie, że kilkakrotnie już widywała owe dwie niewiasty, gdy przychodziły odwiedzić Rustykę, ale wówczas nie przyszło jej na myśl pytać się, co one za jedne, teraz więc nie było końca domysłom i zgadywaniom.

Odkąd Rustyka dowiedziała się, że już bitwa między Maksencyuszem a Konstantynem na dobre zawrzała, a

zwłaszcza, gdy popołudniu hałas i niepokój doszedł aż do jej odległej uliczki, troska poczciwej kobieciny o Waleryę wzmagała się z każdą chwilą. Wyrzucała sobie ciągle, że pozwoliła dziewczynie puścić się samopas ku cyrkowi; daremnie chciała się sama przed sobą wytłómaczyć troską o swoje własne dziecko, o chorego, o gospodarstwo domowe, napróżno usiłowała uspokoić się myślą, że Mincyusz przecież będzie czuwał nad bezpieczeństwem Waleryi. Nawet wieść o zwycięztwie Konstantyna, którą Rustyce przyniosła jedna z sąsiadek, nie bardzo ją uradowała, gdyż przyszli jej na myśl biedni skazańcy w cyrku, których tyran już zapewnie kazał wyciąć mieczem, zanim puścił się na bojowisko. Czarny kruk krzyczał coraz przeraźliwiej swoje »Ave Rustica«, »Witaj Rustyko«, gdy nadszedł czas karmienia; lecz ona wcale na to nie uważała, a gdy czarny, mały żebrak stał się zbyt natrętnym i począł ją skubać za suknię, ona odsunęła go szorstko nogą na bok. Lecz matka Rustyki, która z właściwym instynktem niewidomych poznała niepokój swej córki, do reszty ją zmięszała, zadając jej przeróżne pytania, aby się dowiedzieć o przyczynach jej złego usposobienia.

Rufinus bardzo niechętnie zezwolił rano na to, aby córka jego udała się do cyrku; gdy około południa Waleryi nie było z powrotem w domu Mincyusza, chory ojciec stawał się coraz niespokojniejszym. Aby prefekta miasta nie napawać jeszcze większym niepokojem, Rustyka wcale nie zagadywała o bitwie dzisiejszej; w nadziei odwrócenia myśli jego od córki, powiedziała mu, o czem właśnie się dowiedziała. Zwycięztwo Konstantyna cieszyło Rufina niezmiernie, ale dla czego nie ma tu jego córki, Waleryi, aby dzieliła z nim radość?

Gdy słońce poczęło chylić się ku zachodowi, a Waleryi jeszcze nie było, ogarnął Rustykę straszliwy niepokój. Jakże chętnie byłaby się puściła do cyrku, gdyby mogła zostawić chorego prefekta i niewidomą matkę samą w domu. Może ze sto razy na godzinę biegała ku drzwiom aby wyjrzeć, czy dziewica nie wraca do domu. Nareszcie Rustyka spostrzegła swego męża — lecz ten wracał bez Waleryi! Z największą trwogą puściła się ulicą naprzeciw męża, — a wtedy na głos się rozradowała, gdy Mincyusz uwiadomił ją o ocaleniu Ireny przez własnego syna, i że to Walerya go posyła, aby ojcu jej zaniósł tę radosną nowinę.

— A czy nie zapytałeś się, — zawołała Rustyka — dokąd ten dostojny młodzieniec zaprowadzi swoję matkę? A choćby mię przywiązano, to muszę pobiegnąć do niej koniecznie, aby jej złożyć moje życzenia.

— No, — odpowiedział Mincyusz, — on ją zapewnie najprzód poprowadzi do jej mieszkania na Awentynie.

— Do tych biednych izdebek? Co ty opowiadasz, mężu! Ale teraz chodź prędko do domu i opowiedz choremu tę szczęśliwą wiadomość! Dzięki Bogu! — zawołała uradowana, wchodząc za mężem do chaty.

Że jego córka zdrowa, Irena zaś wraz z innymi skazańcami ocalona, przez swego syna, a Rzym w pogotowiu do uroczystego wjazdu zwycięzcy do miasta, to wszystko były dla Rufina wiadomości, z których jedna uszczęśliwiała go więcej niż druga; to też ustawicznie przerywał Mincyuszowi opowiadanie zapytaniami.

Wtem doleciał do nich turkot szybko jadącego woza.

— A cóż to? Czy on się nie zatrzymał przed chatą?

Właśnie Rustyka chciała podbiedz ku oknu, aliści drzwi się otwierają, a do chaty wpada Walerya, wołając:

— Ojcze! nasza droga matka wraz z innymi skazańcami jest wolną; ocalił ją Kandydus, syn jej; oto przychodzą oboje, aby przywitać się z wami.

Zaraz też weszła do chaty Irena wraz z synem swoim.

Rufinus zebraz wszystkie swoje siły, aby im wyjść kilka kroków naprzeciwko, powitać ich i życzyć szczęścia. Mincyusz i Rustyka zaś patrzeli z zacieka-

wieniem na trybuna wojennego; tak dostojnego gościa chata ich biedna jeszcze nigdy nie przyjmowała. Niewidoma matka, której oni zaraz poszepnęli, kim jest przybyły gość, chciała koniecznie ucałować jego rękę. Tymczasem Rustyka podniosła swoje niemowlę z kolebki, aby i chłopaszek uczestniczył w szczęściu i radości zapełniających wszystkie serca w tej biednej chacie. Gdy ją następnie Irena wzięła w objęcia, a Kandydus obsypał pochwałami z powodu bohaterskiego oswobodzenia prefekta miasta, poczciwa kobiecina, która zawsze wiedziała co i jak odpowiedzieć, teraz nie zdołała wyrzec ani słowa.

Z serdecznem podziękowaniem pożegnał się Rufinus z poczciwymi ludźmi, którzy go przyjęli u siebie z tak tkliwą miłością.

Podczas gdy Mincyusz wraz z Kandydem pomagali Rufinowi przy wsiadaniu na wóz, tłum ciekawych cisnął się do Rustyki, pytając po cichu, kto to jest ów trybun, ów chory i obie niewiasty. Rufinus pod wpływem cierpień, które poniósł, tak się zmienił, że owi ludzie zupełnie go nie poznali; a zresztą któż byłby przypuścił, że skazany na śmierć prefekt miasta, znajdzie schronienie w jednej z biednych chat zapomnianego Zatybrza?

Jak tylko Rustyka powiedziała ludziom, kim są owe tajemnicze osoby, wnet wszczęła się wrzawa i wielki zapał. Każdy pragnął widzieć prefekta miasta, aby mu wyrazić cześć i przywiązanie. Wszyscy postępowali z radością za wozem; tak z ulicy jak i z bocznych zaułków zbiegali się starzy i młodzi, a przejazd przez Zatybrzańską ulicę stanowił dla Rufina niejako pochód tryumfalny.

Mincyusz i Rustyka, którzy odjeżdżający wóz ścigali wzrokiem aż do zakrętu, musieli następnie wszystko opowiedzieć szczegółowo sąsiadom i sąsiadkom, a pytaniom ich i podziwom nie było końca. Rustyka jednak zamilczała, że to ona wyzwoliła prefekta miasta i nie powiedziała też w jaki sposób to uskuteczniła. To, co uczyniła, zrobiła z wdzięczności i chrześciańskiej miłości bliźniego, a że to dzieło się udało, było wyłącznie sprawą Pana Boga, w tem Rustyka nie przyznawała sobie żadnych zasług. Ograniczyła się na tem, opowiadając, jako pewnej nocy zapukał ktoś do drzwi, a gdy mąż jej otworzył, jakiś biedak prosił o przytułek, a ponieważ człowiek ten w swej nędzy obudzał istotnie politowanie, więc poczciwy Mincyusz nie zdołał go odprawić w ciemną noc. Nie przyznała się, że to ona chorego przyprowadziła do chaty.

Przy pożegnaniu prosił jeszcze Kandydus grabarza, aby co prędzej pobiegł na pobojowisko i doniósł papieżowi o ocaleniu więźniów. Z jakąż radością puścił się Mincyusz w drogę, aby dopełnić zaszczytnego i radosnego polecenia!

Już słońce zaszło za górami, gdy Kandydus pożegnał się na kilka godzin z swoimi w pałacu lataraneńskim, aby pobiedz do obozu. Zawiadowca pałacu, rad, że może przysłużyć się nowemu władzcy, przeznaczył im, według rozkazu szereg, najwspanialszych cesarskich komnat, starając się pilnie o wszelkie ich wygody i potrzeby.

Gdy Kandydus przejeżdżał ulice miasta, a z powodu wielkiego natłoku musiał jechać wolno, jak wszystkie domy przystrajano w gałązki wawrzynowe, w wieńce z kwiatów i pstre a kosztowne kobierce na uroczyste przyjęcie wjazdu zwycięzcy. Marmurowy posąg Maksencyusza na Forum obalono, a gromada wesołych i swawolnych uliczników tańczyła naokoło gruzów hardego tyrana.

Kandyda przyjmował lud wszędzie z wielkim zapałem, poznając w nim trybuna zwycięzkiego wojska. Na polu marsowem i na ulicy flaminijskiej raz poraz był powstrzymywany przez deputacye licznych kolegiów i związków, które w strojach świątecznych z gałązkami palmowemi, wawrzynowemi lub oliwnemi w ręku dążyły na powitanie zwycięzcy. Za nadejściem nocy oświetlono rzęsiście domy i wile tak na ulicy flaminijskiej, jakoteż w okolicy, a gromady rozradowanych wieśniaków tańczyły około ognisk, które dla uświetnienia uroczystości wszędzie wznoszono.

Naszemu jeździcowi towarzyszył w drodze cały ten różnobarwny szereg wydarzeń ubiegłego dnia: krwawe sceny z zaciętej walki, radość z przesławnego zwycięztwa, zaszczyt, jakim go odznaczył Konstantyn, wszystkie obawy i nadzieje, pełnia radości, błogosławieństwa i szczęśliwości, których doznał po południu. Ale jakkolwiek te obrazy przeciągające przed oczyma jego duszy, były bardzo rozmaite i urocze, przecież na tle ich dwie tylko postacie rysowały się najwyraźniej — jego matka Irena i Walerya.

XV.

Wjazd.

Pomny na swoje święte powołanie udał się biskup Milcyades z resztą wiernych z namiotu cesarskiego wprost na pobojowisko, aby rannym i konającym nieść pomoc i pociechę. Liczba wojowników chrześciańskich między rannymi była zadziwiająco mała; więc ich wyszukanie nie sprawiało żadnej trudności.

— »Pax tecum, Pokój z tobą!« — rzekł biskup, nachylając się ku jednemu z rannych.

— Co, pokój! — odrzekł tenże szorstko, — ja chcę wody, na Herkulesa, aby zaspokoić palące mnie pragnienie.

Papież polecił jednemu z towarzyszących mu, aby pokrzepił nieszczęśliwego, i zwrócił się do innego rannego wojownika.

— »Pax tecum, Pokój z tobą!«

Gdy ranny usłyszał to pozdrowienie, natychmiast twarz jego rozjaśniła się, a roztwierając ręce, rzekł:

— Dzięki Ci, o Boże, iż zesłałeś mi jednego z braci, zanim umrę! Jestże między wami kapłan, abym choć błogosławieństwo od niego mógł otrzymać?

W jednem miejscu, gdzie gęsto usiane trupy świadczyły, że tu wrzała najzaciętsza walka, poznał biskup między poległymi także setnika Marcyliasa. Chociaż krew lała mu się obficie z licznych i ciężkich ran, jednak żył jeszcze, a gdy świątobliwy starzec pochylił się nad nim i przemówił do niego, dzielny wojownik zebrał resztkę sił swoich, aby wyrzec jeszcze te słowa:

— Jako chrześcianin umrzeć... wierzę w Chrystusa, syna Bożego!

Ponieważ ranny widocznie dogorywał i już tylko kilka chwil żyć mógł, więc biskup odmówił nad nim skład apostolski, a wzbudziwszy w nim żal za wszystkie grzechy za życia popełnione, udzielił mu chrztu świętego i namazał olejem świętym.

Uśmiech szczęścia zajaśniał na twarzy Marcyliasa, i dzielny wojownik pokrzepiony modlitwą i błogosławieństwem Kościoła, wyzionął mężnego ducha.

Już mrok zapadł, a pobożny biskup był niestrudzony w pełnieniu dzieł miłości i miłosierdzia; Konstantyn dowiedział się o tem, a jego cześć i poszanowanie urosło w największy podziw względem szlachetnego starca-kapłana.

— Czemuż to — pytał Konstantyn sam siebie — Gordyanus wraz z swymi towarzyszami nie troszczy się wcale o mężnych wojowników? Któż to nauczył owych chrześcian obchodzić radość z dzisiejszego zwycięztwa nie wśród hulatyk, ale przez pielęgnowanie rannych?

Cesarz nie znał jeszcze owego słowa, łączącego i spajającego świat cały, które wyrzekł boski Odkupiciel: »A cokolwiek uczynicie jednemu z braci moich najmniejszych, mnieście uczynili«.

Ruszenie wojsk nastąpiło dopiero za nadejściem nocy i to po części, aby strudzonym wojownikom dać kilka godzin wytchnienia, częścią zaś z powodu rozmaitych przygotowań do uroczystego wjazdu cesarza do Rzymu. Ponieważ most milwijski był niebezpiecznie uszkodzony, przeto w obec zwyczajnego w takich przypadkach natłoku ludzi nie można go było użyć przy wjeździe. Tak więc zamiast ulicą flaminijską, musiał Konstantyn prawym brzegiem ciągnąć ku Watykanowi i wjazd swój do Rzymu odbyć przez most elijski obok grobowca Hadryana.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DO MOJEGO GRAJKA.

Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
Miły grajek się przyłoży,
I basista nie najgorzej;
Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi.

Miły Janek dobra dusza,
Jeno sobie nóżką rusza.
Po chałupie okiem wodzi,
A smyczek mu już sam chodzi,
Czasem to się tak zaduma,
Aż go łokciem trąci kuma,
Co u niego we zwyczaju,
Gdy wędruje po swym kraju.
Za nutami — jedna, druga,
Ta króciuchna, a ta długa,
Lecą głosy do pamięci
Ode żniwa, sianożęci...
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Lecą, lecą nieproszone,
Na ten smyczek na tę stronę.
Przepióreczka pomkła w proso,
Śpiewa dziewczę z jasną kosą,
Bo to dziewcze pozna żywo
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo.
Zabłąkane nuty chwyta,
Ta do tańca wyśmienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty...
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
A zawracaj od komina,
Czapka na bok, ostra mina,
Z przewieszoną tedy połą
Pomaluchno ano w koło,
Potem raźno na odsibkę.
Bodajże cię za tę skrzypkę...
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Szumno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby w koło,
Za drugimi, za gromadą,
Maciej sąsiad ze sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem
Jedzie Wojtek z dużym dzbanem;
Za płotami jako mogą
Dzieci sobie swoją drogą.

W okólniku skaczą źrebce,
Dziecko śmieje się w kolebce,
Kędy spojrzeć radość wszędy,
Dziwuje się kogut z grzędy,
I na drągu, na wysokim,
Przygląda się jednem okiem.

Stara wierzba głową chwieje,
Nie wiedząca co się dzieje,
Wyskakują płowe wzgórza,
Tylko gwiazda oczy zmruża.
Wszyscy skaczą jak najęci,
Aż tak sobie mówią święci:
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Zmarnowane bieda z nędzą
Jak szalone ze wsi pędzą.
Po lipowym starym moście
Na wesele jadą goście.
Jedzie matka dobra wola,
Aż się złocą od niej pola.
Suknia na niej jak na pani,
Złotem tkana, przerabiana.
Na przyjęcie siostra cnota
Otworzyła stare wrota,
Pokłoniły jej się pługi,
Stary żuraw też jak długi.
Potem z izby buchła para,
Zaśmiała się szczęsna wiara:
Bywaj z nami wieśniakami
Stara matko bywaj z nami!
A któż w świecie was ugości,
Jeźli nie my ludzie prości?

Teraz grajku miły Janku,
Mokre piwo w starym dzbanku,
Zagrajcie nam tego co to,
Co to wiecie, a z ochotą
Tak okrutnie, żeby cała
Nasza Polska usłyszała,
Tak już przez moc wszelką siłą,
Żeby raz już dobrze było!...
Od Warszawy do Krakowa
Już nam się złe nie uchowa,
Od Krakowa do Górali,
Od Górali jeszcze dalej...

Danaż moja dana, dana,
Od wieczora aż do rana.
Grajże grajku bo daremno,
A ty Baśko kręć się ze mną.
Jak się mazur puści szczerze
Niech się świat za głowę bierze,
Jak się mazur rozochoci,
Co na drodze to wygrzmoci.

Zagrajże mi grajku, proszę
Wysypię ci w skrzypkę grosze,
Więc i dziewcze szczere licho,
Podśpiewuje jeszcze cicho,
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Biały ranek gwiazdy gasi,
Pospali się ludzie nasi,
Po weselu cicho wszędy,
Tylko kogut zfrunął z grzędy,
I na śpiących snem głębokim
Ogląda się jednem okiem.

Teofil Lenartowicz.

KRAINA LODOWCÓW W WYSOKICH ALPACH.

(Dokończenie).

Zdarza się jednak często, że lodowiec przekraczając zwyczajne granice swoje, ryjąc przed sobą ziemię, usypując wysokie wały gruzu i niszcząc wszystko co mu staje w drodze, podsuwa się aż pod progi mieszkań górali alpejskich, głęboko w doliny i sprowadza wśród lata na kwitnące łąki i pola zawieje zimowe. Górale powiadają wtedy, że lodowiec rośnie. Zeszedłszy tak nisko w strefę ciepłą, nie może on się oczywiście oprzeć działaniu promieni słonecznych, topi się i spływa strumieniami białawej, jakoby z mlekiem zmięszanej wody. Ale ile go tu w dole ubywa, tyle dorabiają ciągle w górze śniegi i mrozy i nieproszony ten i niepożądany gość wędruje powoli, nieznacznie, coraz niżej. Bywają nieraz wypadki, że zagrożony rosnącym lodowcem góral musi opuścić swoją zagrodę i oddać mu ją na pastwę; że obrywając owoce z drzew swego sadu, staje na lodowcu, aby wyżej dosięgnąć. Ale też zdarza się często, że kiedy stroskany właściciel oczekuje już tylko chwili, w której ten straszny przybysz zmiecie jego zagrodę, lodowiec nagle wstrzymuje się w swoim niszczącym pochodzie, staje, owszem nawet cofa się wstecz. Pamiątka po jego pochodzie pozostaje długie czasy, w miejscu pól i ogrodów straszna pustynia, zryta ziemia i zniesione na jego grzbiecie aż kędyś ze skalnych szczytów smugi gruzów i głazy. Zauważano (Forbes), że w pewnych latach lodowce alpejskie w ogóle rosną, podczas gdy w innych, z przyczyn niedocieczonych dotąd z apodyktyczną pewnością, kurczą się i cofają ku górze. Zauważano także, że ruch ich jest nieustanny, ale szybkość pochodu różna, w różnych porach roku i w różnych częściach lodowca; większa w lecie i w częściach dolnych, a mniejsza w zimie i w górnych kończynach.

Ale więcej nierównie szkody od tej oscylacyi lodowców zrządzają mieszkańcom dolin alpejskich lawiny, których ojczyzną jest także kraina wysokich Alp, a których obrywanie się zostaje w związku z ruchem lodowców i z rewolucyami, odbywającymi się w ich wnętrznościach.

Lawiny są dwojakie: śniegowe i lodowe. Pierwsze powstają gdy po świeżo spadłym śniegu nastąpi nagła odwilż, a więc najczęściej na wiosnę. Drugie strącają nagłe pękania i zsuwania się lodowców. Gdy lodowiec w pochodzie swoim zawiśnie nad stromym stokiem, albo gdy rozsadzające go zmarznięte w zimie wody zbyt wysoko go podniosą, odrywają się olbrzymie bryły i spadają w doliny. Górale alpejscy, zżyci z przyrodą swych gór, znają miejsca z których najczęściej zrywają się lawiny, i przewidują naprzód grożące niebezpieczeństwo. Z miejsc takich wynoszą się ludzie jak mogą najdalej; wiodące w pobliżu nich drogi i ścieżki prowadzą popod zwieszającemi się skałami, albo nawet kutemi umyślnie galeryami zmuszeni przechodzić przez nie, strzegą się, żeby najmniejszej bryłki lodu lub śniegu nie strącić, żeby nawet powietrza niczem nie wstrząsnąć silniej, gdyż czasem jeden wystrzał wystarcza, aby się zerwały ze szczytu przygotowane już do spadnięcia lawiny. Ale pomimo tych wszystkich środków ostrożności, zrządzają lawiny w dolinach alpejskich ogromne spustoszenia. Spadająca lawina tocząc się przez pola śniegowe, rośnie, porywa ze sobą wszystko, co spotka po drodze, przyspiesza ciągle swój pęd, aż w końcu z ogłuszającym grzmotem spada jak piorun w dolinę, gdzie zasypuje czasem całe wsie. Poprzedza ją wściekły wicher, wywołany jej szalonym pędem, który toruje jej drogę, unosi jak źdźbła trawy, całe szałasy i chaty, ściele pomostem pod jej stopy całe szmaty borów.

A jednakże groźna ta ojczyzna lodowców i ławin, zsyłająca takie straszne

spustoszenia w doliny alpejskie, nie jest bynajmniej bezużytecznym a tem mniej wyłącznie szkodliwym czynnikiem w wielkiem gospodarstwie przyrody. Czem są dla północno-wschodniej Europy zachodnie prądy wiatrów, sprowadzające z Atlantyku brzemienne deszczem chmury, czem są dla Ameryki południowej Kordyliery a dla Indyi wschodnich Himalaje, tem jest dla krajów pod Alpami, owszem nawet dla całej południowo-zachodniej Europy kraina lodowców wysokich Alp: olbrzymiem źródłowiskiem, które zasila wodą całą tę połać kontynentu. Każdy lodowiec jest źródłem jakiejś rzeki; owe wrota lodowców i odpływające z nich mleczne potoki, to rodziciele Renu i Rodanu i górnych źródłowych dopływów Padu i Dunaju. Gdyby nie było lodowców alpejskich nie byłoby ani Renu ani Rodanu, ani Dunaju ani Padu a kwitnące doliny alpejskie i pod Alpami byłyby bezwodną pustynią. Tak choć sama martwa, rozlewa kraina lodowców wysokich Alp życie dokoła.

Ale nawet i ona sama nie jest tak zupełnie pozbawioną życia, jakby z jej pól śniegowych, lodowców i lawin sądzić można. Dolna jej strefa, wkrawająca się w granice górnych hal, ma jeszcze w Sierpniu kilkanaście dni lata, którego słabe tchnienie, niezdolne stopić nagromadzonych tu lodów, rozbudza jednakże bodaj na chwilę, twórcze siły przyrody. To też gdzie tylko na stromym stoku śnieg utrzymać się nie może i odkryje spłachać wilgotnej, ziębniętej ziemi, zaruniają ją zielenice i mchy, z pomiędzy których podnoszą gdzieniegdzie skromne główki nawet rośliny jawnokwiatowe, właściwie strefie podbiegunowej archipelagu Spitzbergen. Małe te oazy zielone, rozrzucone po pustyni lodów i skał, które na Monte Rosa znajdowano jeszcze na wysokości 11,000 nazywają górale alpejscy ogródkami lodowcowymi. Bo nietylko uwolnioną z pod śniegu ziemię, lecz nawet same śniegi pokrywa lekki wodorost, zwany śniegiem czerwonym i barwi je karmazynowo. Życie zwierzęce prawie tu nie zamiera jeszcze ze szczętem. Pardwy halne i wrony śnieżne zalatują aż na najwyższe szczyty tej krainy. Nad onymi ogródkami polatują tu i owdzie motyle, zachodzi na nie często zuchwała kozica z górnych hal. Po omszonych kamieniach biega długonogi pająk korsarz i poluje na drobne muszki i chrząszczyki, a nawet w szczelinach samych lodowców żyje maleńka pchlina lodowa. Dopiero powyżej 11,000 stopni głuchną już i te słabe tętna życia i wyjąwszy czarne iglice skał, zagrzebują wszystko suche, zmarznięte śniegi, o które odbijają się bezwładnie już promienie słoneczne.

Człowiek rzadko tylko dociera do krainy wysokich Alp, gdyż leży ona już zupełnie poza obrębem jego materyalnych potrzeb. Zapędza się tam chyba zapalony myśliwy ścigając kozicę, albo chciwy niezwykłych wrażeń podróżny, albo nakoniec gnany żądzą nauki badacz przyrody. Bo też to rzecz niełatwa zmierzyć się oko w oko z tą przyrodą pełną grozy! Do szałasów na halach może się jeszcze podróżnik dostać na koniu góralskim lub na mule, wprawionym do drapania się po górach, którego ostrożności i pewności kroku powierzyć się może bezpiecznie. Ale dalej musi już iść pieszo z długim kijem, okutym ostrem żelazem, w ciżmach podkutych ostrymi gwoździami, aby mu się gdzie noga nie pośliznęła, musi sobie nieraz siekierą torować drogę przez zawały lodów, wdrapywać się po drabinach na prostopadłe ściany skał, spuszczać się na linach w parowy, przechodzić brzegami bezdennych przepaści gdzie jeden krok chybiony może przypłacić życiem, musi prócz tego walczyć z zimnem, ze znużeniem, które podwaja rzadsze o wiele na tych niebotycznych wyżynach powietrze, z zawrotem głowy; czasem nawet z zapaleniem oczu, które sprowadzają ostre wiatry i odbijanie się promieni słonecznych od śniegu, a nakoniec jeszcze często z lawinami, z kurzawą śnieżną i mgłami, tymi najstraszniejszymi i niezwyciężonymi wrogami podróż-

ników alpejskich. Zdarza się nieraz, że strzelec lub turysta zaskoczony mgłami, przesiedzi cały dzień i więcej na jakiemś cyplisku, nie ważąc się ani wracać ani iść dalej, szczęśliwy, jeżeli mgła opadnie, nim mu wyjdzie żywność; że lawiny zagrzebią całą karawanę, jak przed niewielu laty ekspedycyę angielską na Mont Blanc, z której dziesięciu członków jeden tylko ocalał.

Dla tego to kraina lodowców wysokich Alp, pomimo dostępności ich dolin i łatwej stósunkowo przeprawy przez niższe ich grzbiety, była długo światem nieznanym. Badanie jej pod względem naukowym datuje się zaledwie od stu lat. Jeszcze około połowy przeszłego wieku prawił geograf Hager o smokach, gnieżdzących się na górze Pilatus, a szczyt św. Gortharda miano długo za najwyższy w Alpach. Dolinę Chamonny i grupę Mont Blanc odkryli dla geografii dopiero Anglicy r. 1740. Dr. Paccard w roku 1756 wdarł się pierwszy aż na najwyższy szczyt tego olbrzyma, a w roku następnym zwiedził go Saussure i wzbogacił ważnemi odkryciami wiadomości o Alpach i ich przyrodzie. Najwyższy szczyt Monte Rosa zwiedzili po raz pierwszy bracia Schlagenweity dopiero roku 1853. Dzisiaj posiadamy już dokładne karty całej krainy alpejskiej, bogatą literaturę naukową o Alpach (Berlepsch, Studer, Desor, Weber, Tschudi, Hugi, Forbes, Agassiz), a jednak jest jeszcze kilka znaczniejszych szczytów niezwiedzanych, i robią się tam do teraz jeszcze wyprawy w celu odkrycia i zbadania naukowego nieznanych ustronnych okolic, którym przychodzą w pomoc kluby alpejskie, pozawiązywane w Anglii (najpierwszy), w Szwajcaryi, Austryi i we Włoszech.

POGRZEBY KRÓLEWSKIE I INNE.

(Dokończenie.)

Jeden z kapłanów otoczony sługami królewskimi, obchodził ołtarze z misą srebrną groszami napełnioną i co mógł garścią ująć, kładł z misy na ołtarz. Przed wielkim ołtarzem największe złożono dary: sukna tyle co w innych kościołach a czterej naczelni królewscy dworzanie położyli na ołtarzu naczynia, którerni za życia usługiwali swemu monarsze, a mianowicie komornik i podskarbi złożyli miednice srebrne z obrusami i ręcznikami, stolnik z podstolim 4 wielkie srebrne misy, cześnikz podczaszym naczynia do picia a mianowicie puhary srebrne, podkomorzy czyli marszałek ofiarował najdzielniejszego konia ze stajni królewskiej, podkoniuszy rycerza uzbrojonego a w szaty królewskie przybranego, tudzież chorągwie przez chorążych niesione. Poczem według zwyczaju połamano owe chorągwie czyli ich drzewca, wśród ogromnego jęku i łkania tłumów ludu. Na tem kronikarz kończy swój opis, a dodać trzeba do tego małą uwagę, że zwyczaj łamania proporców musiał być w Polsce odwieczny, skoro już w pogańskich popielnicach na Mazowszu znajdowano pokruszone lub zgięte bronzowe groty od włóczni i kopii rycerskich.

Na pogrzebie Władysława Jagiełły, który takim samym (jak to widzimy z Długosza) odbywał się porządkiem, dano w ofierze za duszę zmarłego króla wiele okazałych rumaków, szkarłatem przybranych, a prowadzonych przez rycerzy, z których jeden niósł chorągiew z białym orłem, zawieszoną na wysokiem drzewcu. Nadto złożono misy złote i srebrne (które monarcha najwięcej lubił za życia), napełniwszy je pieniądzmi. Wysokie świece nadzwyczajnej wielkości paliły się w kościele około katafalku aksamitem i szkarłatem okrytego. Tu nadmienić wypada, że do ostatnich czasów

przechowywano w katedrze na Wawelu olbrzymie szkarłatne czyli purpurowe opony do zawieszania ścian świątyni podczas pogrzebów królewskich, wiadomo bowiem, że szkarłat miał w takim razie znaczenie żałobne. Paweł z Zatora, najsłynniejszy kaznodzieja swego czasu wygłosił na pogrzebie Władysława Jagiełły mowę w języku polskim tak wzruszającą, że płakali wszyscy senatorowie i rycerstwo polskie.

Marcin Bielski tak opisuje pogrzeb Zygmunta I (r. 1548). Gdy się żałobne nabożeństwo skończyło, szło w kondukcie 30 par mar żałobnych, pod przykryciem różnych farb złotogłowych, a za niemi tyleż koni królewskich, pod przykryciem kitajek różnej farby, z herbami monarszymi. Przodkował im chorąży nadworny, z orlem koronnym, na białym koniu siedząc, a miecz goły ku sobie obrócony niosąc. Przed marami, na



OJCIEC IDZIE!

których ciało króla wieziono, jechał Jan Tarło w kirysie zupełnym (darowanym niegdyś w Wiedniu zmarłemu monarsze przez cesarza Maksymiliana) mając miecz goły, a takiż niósł i chłopiec idący za nim z proporcem. Przed marami szli posłowie ziemscy i niesiono oznaki królewskie: miecz, jabłko, berło i koronę. Ciało nieśli dworzanie, wielkie świece lane dzierżąc w ręku. Za ciałem szedł król nowy Zygmunt August prowadzony przez posłów cesarza i króla rzymskiego, a za nim zmarłego wdowa (Bona) prowadzona przez księcia pruskiego i margrabicza brandeburskiego. Gdy ciało wprowadzono do kaplicy na zamku krakowskim i oznaki królewskie złożono na marach, wystąpił arcybiskup gnieźnieński ze mszą, przy której służyli mu wszyscy biskupi. Po ewangelii miał długą i uczoną mowę Samuel Maciejowski, biskup krakowski, a gdy ją skończył i zaczęto śpiewać modły, ów Jan Tarło wraz ze swoim giermkiem wjechał do kościoła, mając około zbroi i hełmu zapalone świeczki. Gdy śpiewano A g n u s D e i, panowie, co w obchodzie nieśli znaki królewskie, zdjąwszy je teraz z mar, położyli na ołtarzu. Przystąpili do nich nowy król i książęta i (mówi Kazimierz Sarbiewski) na pamiątkę używanego w Kościele katolickim zwyczaju łamania lasek we wstępną środę, uderzyli je o ziemię. Król uderzył przed wielkim ołtarzem hełmem, książę pruski tarczą, margrabicz mieczem, książę cieszyński drzewcem tak mocno, że się złamały. Wtedy kiryśnik spadł z konia przy marach, kanclerz i podskarbi potłukli swoje pieczęcie a inne dostali, i następnie wyszli wszyscy z kościoła. Król Zygmunt August, jak wiadomo, umarł (r. 1572) w Knyszynie na Podlasiu koło Tykocina. Kondukt pogrzebowy wyruszył z Tykocina do Krakowa.

Po odprawieniu mszy żałobnej w kaplicy zamku tykocińskiego, 24 dworzan królewskich w kaptury ubranych, z lanemi świecami w ręku, tudzież ubodzy w kapach i ze świecami, wyprowadzili ciało. Postępowała procesya ze stu ubogich złożona, ze świecami zapalonemi, za nimi księża i kapelani królewscy, a za tymi pan chorąży na koniu czarno ubranym. Za chorążym postępował otoczony sługami pieszymi koń czarny, unosząc na sobie herby królewskie, a dalej jechało na koniach dwoje pacholąt z puklerzami. Następnie szedł wóz z ciałem królewskiem, przykryty czarnem suknem i zaprzężony w konie tak samo ubrane. Za wozem jechali panowie radni z poczty swoimi. Przyjmowano ten konwój uroczyście strzelaniem z dział i ręcznej broni w miejscach, przez które przechodził, a gdzie się zatrzymywał na noc, tam stawało na straży przy marach dwóch komorników królewskich, ośmiu drabantów, dwóch dworzan i dwóch jurgieltników.

W Warszawie wystąpiło 200 ubogich i 60 dworzan ze świecami, oraz cechy wszystkie ze świecami, niosąc 10 mar złotogłowiem i aksamitem bogato przybranych. Wóz żałobny przykryto także aksamitem. Wprowadzili ciało biskupi i opaci w ubiorze okazałym. Wchodząc do kościoła, oznaki królewskie niesiono przed ciałem, a obok postawiono chorągiew nadworną i pieniądze na misach, które rozdawano ludowi. Kazań było 4. W Krakowie czekali na ciało u Bramy Floryańskiej posłowie dworów zagranicznych, biskupi, opaci i cechy, mając 30 mar złotogłowiem pokrytych. Tamże stało koni 30 przykrytych jedwabiem i chorążych ziemskich poczet wielki we zbrojach czarnem suknem pokrytych, nakoniec ubodzy w kapach i reszta procesyi. W pochodzie, który się uszykował, szli naprzód żacy szkolni, po nich duchowieństwo, potem ubodzy w kapach w liczbie 600. Chorążowie szli podług starszeństwa swoich ziem. Zaczynały więc pochód młodsze ziemie t. j. najpóźniej z koroną połączone, kończyły zaś ziemie dawniejsze a na ostatku poznańska i krakowska. Za niemi chorągwie ziem lennych: pruska, pomorska, wołoska, inflancka i kurlandzka, chorągiew nadworna wielkiego księstwa litewskiego i królestwa polskiego.

Po chorągwiach prowadzono 30 koni pod jedwabiem a jednego pod czarnym

aksamitem, za końmi 30 mar królewskich, po tych jechał mąż w kirysie na koniu w czerni, trzymając miecz goły ostrzem ku ziemi. Za nim jechało pacholę w zbroi z tarczą, drzewcem i proporcem ku ziemi spuszczonym. Na proporcu tym był z jednej strony orzeł a z drugiej pogoń wymalowana. Za tymi jechał mąż w szacie królewskiej, a za nimi panowie radni, niosąc znaki królewskie w otoczeniu 60-ciu dworzan ze świecami. Nakoniec siostra królewska Anna Jagiellonka z fraucymerem, prowadzona przez posłów od dworów zagranicznych, a za nią rada miasta Krakowa. Pochód ten odprowadził ciało do zamku na Wawel.

Nazajutrz był podobny obchód po mieście, tylko że ciała królewskiego nie obwożono ale same mary. Procesya wstępowała do kościołów: św. Franciszka, św. Anny, św. Szczepana, św. Szczepana, św. Trójcy i powróciła na zamek. W każdym z tych kościołów postawione były inne mary, a w ich głowach i nogach stały dwie misy z pieniędzmi, które rozdawano ubogim a resztę panowie radni wysypywali na ołtarz. Dnia trzeciego w tymże porządku stanęli wszyscy na zamku. We wszystkich kościołach bito w dzwony, aż do kazania, które miał biskup. Po kazaniu znowu bito w dzwony. Podczas śpiewania Pater noster, mąż w zbroi z drzewcem wjechał do kościoła a za nim giermek. Poczem odbył się zwykły obrzęd spadania z konia i łamania pieczęci.

Król Zygmunt August ubrany był do trumny w sposób następujący: Naprzód ciało owiniono ceratą czyli płótnem woskowem i włożono na nie koszulę z płótna flamandzkiego, na koszulę giermak nakształt rewerendy z adamaszku czerwonego, spięty sznurem złotym, opasującym ciało. Na to wdziano albę z białej kitajki a na nią dalmatykę złotogłową. Na wierzch tego wszystkiego ubioru włożono płaszcz z altembasu. Zawieszono u szyi łańcuch wartości 200 czerwonych złotych z krzyżem dyamentami i rubinami wysadzanym. Na palce włożono dwa wielkie pierścienie: szmaragdowy i szafirowy, na ręce jedwabne rękawiczki a na nie blachownice żelazne, na nogi buty złotogowe i ostrogi pozłociste. Do boku przypasano miecz w srebrnej pochwie a obok złożono berło i jabłko. Na głowę włożono biret z czerwonego atłasu a potem osadzono koronę. Na piersiach złożona była srebrna pozłacana tabliczka z napisem łacińskim objaśniającym kto leży w tej trumnie. Trumnę wewnątrz obito aksamitem czarnym.

Kronikarze opowiadają o żałobie noszonej po zgonie królów piastowskich, a zwłaszcza po śmierci Bolesława Chrobrego, którego naród polski długo i serdecznie opłakiwał. Długosz mówi, że po zgonie tego monarchy »niewiasty i dziewice zaniechały wszelkich strojów i porzuciły zwykłe ozdoby a wszyscy jakby z nakazu dłużej niż rok zachowywali żałobę.«

Podobnie Marcin Bielski opowiada, że po zgonie Zygmunta I-go przez cały rok żałobę noszono, że sromotą było i prostemu człeku wyjść z domu bez czarnej sukni, że na pannach nie ujrzałeś wieńca, nie usłyszałeś grania i muzyki, że biesiad ani tańców przez cały rok nie było. Podobnież opłakiwano i śmierć królowej, że nawet na weselach nie grywała muzyka, a na ratuszu krakowskim ściany i stoły w izbach radnych czarnem były pokryte suknem. Czyniono to z dobrej woli, bo obowiązku ani nakazu nie było pod tym względem żadnego.

Po Granowskiej, trzeciej żonie Władysława Jagiełły, nikt nie chodził w żałobie oprócz króla samego. Żałobą nazywano osobnego rodzaju suknie, które odznaczały się wielkimi kołnierzami i długimi rękawami. Na pogrzebie swego ojca, Zygmunta III, królewicze i senatorowie mieli kapy z sukna czarnego jak zakonnicy, tak długie, że się wlokły po ziemi, a na głowach kaptury czyli jak wówczas zwano kapice. W pogrzebie królowej Anny Jagiellonki, wdowy po Batorym, brało udział 1500 ubogich w żałobne kaptury ubranych, którzy dostali po dwa talary.

Opis pogrzebu Katarzyny Jagiellonki w Szwecyi, matki Zygmunta III, ze źródeł współczesnych podał »Pamiętnik sandomierski« (r. 1830, tom II, str. 158). Ostatnim obrzędem, który w naszych czasach przypomniał pogrzeby królów polskich, była żałobna wspaniała uroczystość r. 1869 w Krakowie z powodu przeniesienia zwłok Kazimierza Wielkiego do wyrestaurowanego grobowca. Wszyscy królowie i książęta polscy kazali się chować do trumny ubogo, z pobudek religijnych, z wyjątkiem Jagiellonów, którzy gwoli starym tradycyom litewskim i przedchrześciańskim ubierani byli do trumień z przepychem. O prywatnych pogrzebach pańskich w dalszej przeszłości naszej, wiemy, że przed trumną czyli jak mówiono marami rycerza, prowadzono jego rumaka pod zbroją i przykryciem purpurowem. Konia tego wprowadzano przed trumną do kościoła. Taki pogrzeb rycerski, jak opisuje Długosz, wyprawił r. 1382 synowi swemu Zawiszy (Zawichostowi) z Kurozwąk, biskupowi krakowskiemu, ojciec jego Dobek (Dobiesław), kasztelan krakowski, a to z powodu, że Zawisza zbyt młodo zostawszy biskupem, prowadził życie więcej świeckie niż duchowne. Później grzebali się panowie polscy podobnym zwyczajem jak królowie. Janowi Tarnowskiemu sprawiono roku 1563 w Tarnowie pogrzeb prawie taki sam jak królom w Krakowie. Inni znowu przez skromność chrześciańską zabraniali na swych pogrzebach wszelkiej okazałości światowej. Tak n. p. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, (który odbył pielgrzymkę do Ziemi świętej), kazał się ubrać do trumny w sutannę ubogą, płaszcz gruby i kapelusz pielgrzymi, a pogrzebać bez żadnej okazałości, polecіwszy, ażeby trumny niczem nie nakrywano, ażeby żadnych katafalków nie strojono, mar czyli trumien na pogrzebie nie noszono, koni nie wodzono, kopij nie kruszono, i żeby ubodzy których on bracią nazywał swoją, do grobu go nieśli.

Jakże odmiennym był pogrzeb Józefa Potockiego, hetmana wiel. kor. kasztelana krak. w r. 1651, w którym brało udział 10 biskupów i suffraganów, 60 kanoników, 1,275 księży łacińskich i 430 unickich oraz schyzmatyckich. Z 120 wielkich śpiżowych armat dziedzicznych dając przez 6 dni ognia, wystrzelano 4,700 kamieni prochu. To też była to już doba upadku.

ŚNIEŻNA ZAWIEJA.

OPOWIADANIE Z ŻYCIA AMERYKAŃSKICH KOLONISTÓW.

I.

Było-to w Lutym, podczas srogiej zimy.

Na setki mil rzeka Missouri w Stanach Zjednoczonych Ameryki pokryta była lodem tak grubym, że największe ciężary przewożono bezpiecznie z jednego brzegu na drugi.

W podobnym czasie życie na fermach kolonistów niezmiernie jest jednostajne.

Przez większą część dnia, cała rodzina, razem z parobkiem i dziewką, siedzi przy ogniu, słuchając opowiadań starych lub nowych rzeczy... jak się zdarzy.

Czasami kolonista lub syn najstarszy bierze strzelbę i przypasawszy łyżwy śniegowe, wychodzi dla ubicia jakiego zwierza. Zdarza mu się wtedy napotkać stado wilków, lecz te nie są niebezpieczne, chyba gdy są strasznie wygłodzone. Do najnieprzyjemniejszych spotkań należy zetknięcie się z czarnym niedźwiedziem, a jeszcze gorzej z szarym, nazwanym Grizzli. Lecz dziś oba te gatunki nad Missouri, już do rzadkości należą, gdyż niedźwiedź opuszcza strony, przez ludzi zamieszkiwane.

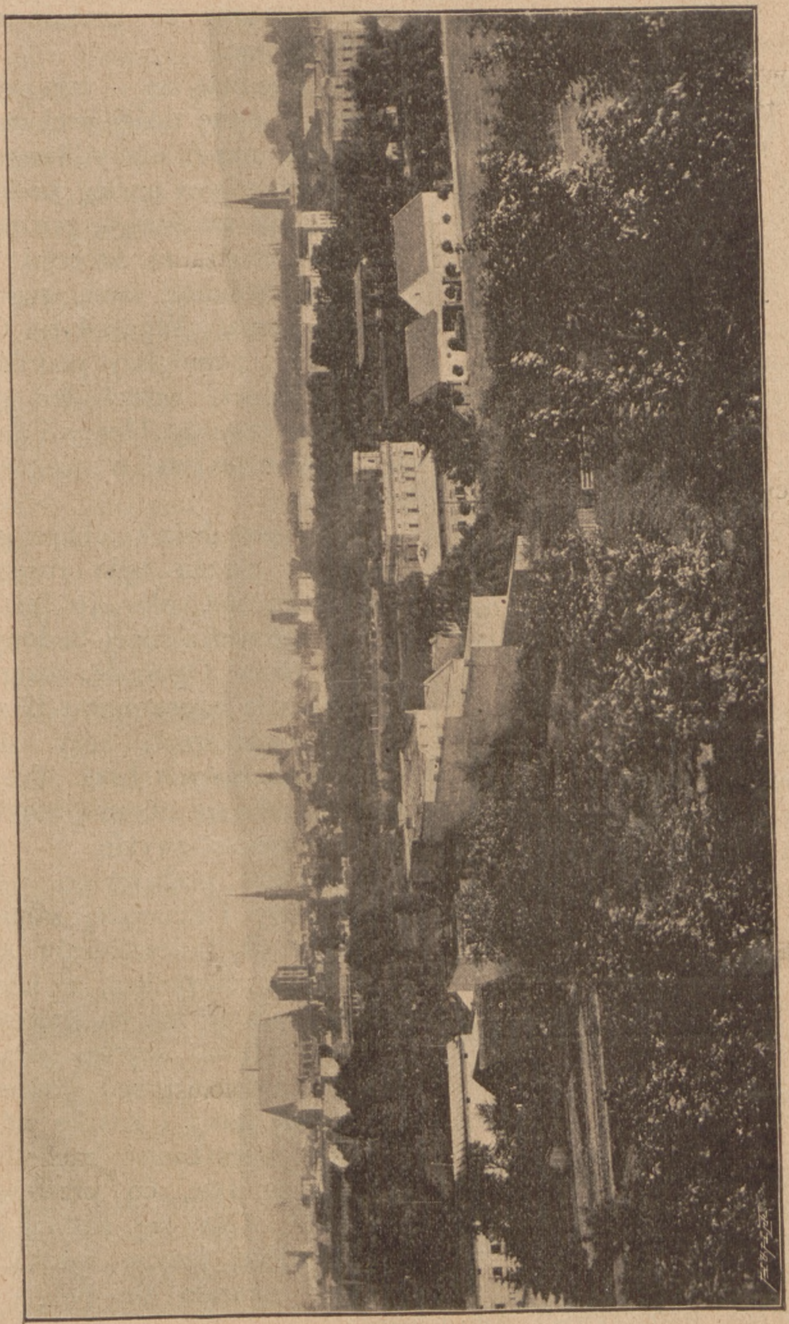
Gdy kolonista nie ma pociągu do myśliwstwa, zajmuje się rybołóstwem.

Udaje się nad rzekę, wyrąbuje otwór i harpunem łowi ryby, napływające zewsząd, aby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Kobiety zajmują się domowemi robotami, przyczem rozmowa ani na chwilę

Tak żyją ludzie w zachodnim Jowa i we wschodniej części stanu Nebraska, gdy lód pokryje rozdzielającą je rzekę Missouri.

Teraz przecina oba te kraje kolej



MIASTO NYSA. (Obacz objaśnienia rycin na str. 591).

nie ustaje. Spożywa się tam ogromna masa jadła, a kocioł z kawą wisi ciągle nad ogniem.

Śpi się jak można najdłużej, aby prędzej przeżyć powoli wlokące się zimowe dni.

żelazna, łącząca dwa oceany i dziś ludzie tutaj zamieszkali nie są tak odsunięci od wszelkiej cywilizacyi, jak to do niedawna jeszcze miało miejsce.

Lecz w czasie naszego opowiadania nie było jeszcze kolei.

Nad górną Missouri, niedaleko Council-Bluff, pracowity i zamożny kolonista, nazwiskiem Thomas Cooper, osiedlił się w pięknej okolicy z bardzo urodzajnym gruntem. Olbrzymie pnie hikory, dębów i sykomorów padły pod uderzeniami siekiery, dostarczając materyału na budowle fermy, a wykarczowana przestrzeń zasianą została pszenicą, kukurydzą, oraz kartoflami. Z pomocą dwóch synów, Henry i James, tudzież kilku parobków, Cooper postawił budowle, wykarczował pole i dziś posiadał w nadmiarze nawet wszystko, co do wygodnego życia było potrzeba.

Był-to silny, energiczny człowiek, mający lat około 50 i bardzo ujmującej powierzchowności. Synowie jego byli we wszystkiem do niego podobni. Należeli oni do tej rasy ludzi zachodniej Ameryki, dla których igraszką jest: ściąć siekierą najgrubsze drzewo, dosiąść najdzikszego konia, poskromić rozhukanego byka i kulą zabić na najwyższej gałęzi drzewa wewiórkę, bez uszkodzenia jej skóry.

Żona Coopera, Hanna, i córka Judyta, pierwsza bardzo poważna, a druga bardzo ładna, były pracowitemi i zadowolonemi zupełnie ze swego losu. Największą dla nich uciechą stanowiło ukazanie się kramarza z materyałami na suknie, z igłami, nićmi i t. p.

Była już dziewiąta godzina wieczorem.

Na dworze szalał wicher ze śniegiem tak silny, że co chwila okiennice stukały, a belki w wiązaniu dachu żałośnie skrzypiały.

Wewnątrz było jasno i ciepło. Całe kloce, wyrzucając iskry, paliły się na kominie, a dwie duże lampy dostatecznie oświetlały izbę.

Rodzina fermera, ukończywszy wieczerzę, zabierała się do spoczynku, gdy dały się słyszeć na dworze dzwonki sanek, do fermy się zbliżających.

— Hoho! będziemy mieć gościa. Ale kto przy takiem powietrzu może pędzić po lodzie lub przez stepy? — zawołał starszy syn fermera, Henry.

— Być może, że jest-to zabłąkany podróżny, szukający schronienia — rzekł Cooper, — w takim razie przyjmiemy go dobrze, jeśli zażąda od nas gościnności.

— Halloh! — krzyknął silny głos. — Czy można tu znaleść miejsce na dzisiejszą noc.

— Rozumie się — odpowiedział pan domu, — przy takiej wichurze nie odpędziłbym nawet obrzydliwego indyanina, jeśliby mię o nocleg prosił.

Brodząc we śniegu, poszedł Cooper otworzyć wrota, za któremi stały niezgrabnie zrobione sanie, zaprzężone w jednego konia. Wpuścił go Cooper na podwórze i pomógłszy podróżnemu wysiąść z sanek, wprowadził gościa do izby, podczas gdy Henry i James zajęli się umieszczeniem w szopie sanek i konia.

Gdy jasne światło oblało postać podróżnego, można było rozeznać rysy niemłodego już, oko 40 lat mieć mogącego człowieka silnej budowy i słusznego wzrostu. Ogorzałą, rozumną twarz jego otaczała czerwonawo-blond broda, a czarne jak smoła oczy iskrzyły się z pod krzaczastych brwi. Po zrzuceniu futra ukazało się ubranie napół trapera, napół fermerom zwykłe.

Przybycie podróżnego wśród najtęższej zimy i szalejącej zamieci śnieżnej, było dla mieszkańców fermy tak niezwykłem zdarzeniem, że nikt nie pomyślał o udaniu się na spoczynek.

Przyrządzono szybko gorące jedzenie i postawiono przed gościem dzbanek czarnej kawy i flaszkę wódki. Jadł i pił, jak mieszkaniec zachodu, to jest cztery razy tyle, co przebywający na wschodzie. Gdy się nasycił i orzeźwił kawą a więcej jeszcze wódką, na twarzy jego ukazało się błogie zadowolenie.

— Rzeczywiście, że było to prawdziwe dla mnie szczęście napotkać tę błogosławioną fermę — rzekł spokojnie. — Gdyby nie to, mógłbym był zginąć w tej przeklętej zamieci, gdyż kilka razy zaledwo mogłem się wydostać ze śniegowych wałów na lodzie. No, trze-

ba mieć nadzieję, że powietrze się zmieni i jutro znów będzie jasno i pogodnie; a byłoby to dobrze, gdyż spieszno mi bardzo dostać się do Independence.

— Do licha — rzekł Cooper, — musi to być ważny powód, który was zmusza puszczać się w drogę podczas takiej zamieci. Jedziecie z północy?

— Tak jest, ciągle po zamarzniętej rzece. Podczas pięknej pogody jest to przyjemna bardzo jazda, lecz gdy taka zamieć, jak dzisiejsza się zdarzy, to przyjemność łatwo można śmiercią przypłacić.

— To pewno — jabym się nie odważył na podobnie ryzykowne przedsięwzięcie.

— Wiele ten robi, co musi. Najgorszem było to, że tam w górze rzeki okolica jest mało zaludniona, musiałem konia karmić chlebem z kukurydzy, gdyż inaczej padłby mi z głodu. Spodziewam się, że droga ztąd do Independence będzie wygodniejszą.

— Jedziecie więc z daleka?

— Z Fort Lookont.

— To będzie przeszło 300 mil ztąd (angielskich). Ładna podróż, niema co mówić, wśród takiej ostrej zimy. Nic wam się złego nie zdarzyło w ciągu drogi?

— Myślicie pewno o Czerwonych Skórach?

— Tak.

— Ani jednego nie widziałem, z ochotą posłałbym kulę za nim. Zabiłem tylko z jaki tuzin wilków, gdy mię całe ich stado opadło i koń mi się zestrachał. Najgorszą jednak drogę miałem dziś od południa, gdy się zaczęła ta zamieć; dla tego też jestem bardzo kontent, znalazłszy gościnne przyjęcie i dach nad sobą. Jak wasze nazwisko, panie?

— Nazywam się Thomas Cooper.

— Dawno już w tej okolicy?

— Od pięciu lat; przedtem mieszkałem w stanie Illinois, zkąd febra mię wypędziła. Ale zawsze lepiej, gdy się wie, z kim się mówi. Jakież jest wasze nazwisko, panie?

— Macie słuszność. Jestem Rubin Fergus i należę do spółki, handlującej futrami, która polowała w Czarnych Górach i w okolicy rzeki Yellowstone. W jesieni pociągnęliśmy dalej na wschód, aby przeprawić się przez Missisipi i dostać się do jezior kanadyjskich. Podczas drogi zachorowałem. Z trudnością zaniesiono mię do Fort Lookont, tam wyżej nad Missouri, gdzie cztery miesiące przeleżałem. Zaraz po wyzdrowieniu puściłem się w podróż, gdyż trzeba mi jak najśpieszniej dostać się do Independence, zkąd pojadę dalej na wschód, jak tylko lody spłyną i statki parowe zaczną jeździć. Zbudowałem zatem sanie, zapakowałem w nie moje rzeczy, zaprzęgłem starego lecz wybornego konia i puściłem się po lodzie rzeki. Odradzali mi to oficerowie w forteczce, lecz nie zważałem na to, gdyż w mojem życiu niebezpieczniejszych rzeczy dokonywałem.

— Z całego serca życzę, aby wam się to powiodło, ale czas nam iść spać. Chodź, panie Fergus, zaprowadzę cię do twego pokoju.

Cooper, wziąwszy światło, towarzyszył gościowi do jego sypialni.

Domownicy również ułożyli się do snu i po kwadransie cisza zaległa odludną fermę, tylko na dworze srożyła się zawierucha, roznosząca tumany drobniutkiego śniegu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

* Objaśnienia rycin. *

Nysa, miasto powiatowe na Górnym Śląsku, położone nad rzeczką Bielą, wpadającą do rzeki Nysy, posiada warowną fortecę. Liczy około 24 tysiące mieszkańców, w tej liczbie 5,500 ewangelików i 1,250 żydów, w obrębie swoim posiada ośm kościołów katolickich i dwa ewangelickie. Z pomiędzy kościołów na szczególną uwagę zasługują: kościół św. Jakóba, poświęcony już w roku 1198, były kościół Jezuitów, obecnie gimnazyalny i kościół zwany »kuracyalnym«, zbudowany w r. 1715. Oprócz tych kościołów znajdują się tu: duży szpital, niegdyś klasztor krzyżacki, dom schronienia dla księży emerytów katolickich,

gimnazyum katolickie, gimnazyum realne, wyższa szkoła żeńska, szkoła przemysłowa i zimowa szkoła rolnictwa. Dalej są tu fabryki narzędzi rolniczych, młyny wodne, młyny prochowe, fabryka broni, a mianowicie warsztaty artyleryjskie, zajmujące dawny pałac książęco-biskupi, przędzalnie blacharnie i licznie odwiedzane jarmarki zbożowe i końskie.

O starożytności Nysy świadczy najlepiej ta okoliczność, że w roku 1015 istniała tu kaplica poświęcona czci św. Jakóba i św. Agnieszki, na miejscu której, później wzniesionym został wyż wspomniany kościół św. Jakóba. Gdy Jarosław, syn Bolesława Wysokiego a brat Konrada, proboszcza wrocławskiego i biskupa bamberskiego, zmarłego w roku 1203, Jana, zmarłego w r. 1201, Henryka I, księcia wrocławskiego, Bolesława, urodzonego 1148 a zmarłego 1201, Olgi zmarłej 1201 i Adelajdy za Diepoldem, margrabią morawskim, zmarłej 1223 r., licząc lat 46, obrał sobie stan duchowny, wtedy zrzekłszy się następstwa na tron książęcy, na rzecz braci swoich, otrzymał księstwo Opolskie i Nyskie, z których pierwsze, po jego śmierci powróciło w posiadanie ojca jego. Księstwo Nyskie zaś, wstępując na stolicę biskupów wrocławskich, za zezwoleniem i zgodą ojca swego, w roku 1199 zapisał na własność po wieczne czasy kościołowi śląskiemu. W czasach późniejszych aż do naszych, wskutek tego zapisu, biskupstwo wrocławskie nabrało wielkiego znaczenia i świetności. Nysa tworząc małe państewko kościelne na Śląsku i będąc własnością biskupów wrocławskich, sprawiła, że biskupi tym sposobem zaliczeni zostali w liczbę książąt śląskich i że od tej pory noszą tytuł książęcy.

Nysa aż do sekularyzacyi, tj. do roku 1810, pozostając czysto katolickiem miastem, nie uległa losowi innych miast śląskich, w których reformacya była zaprowadzoną. Po zajęciu Śląska przez Fryderyka II w r. 1741, w ciągu trzech dni Nysa była ostrzeliwaną, lecz bez skutku; w parę miesięcy jednak później na nowo oblężoną, 1-go Listopada tegoż roku poddała się zwycięzcy, który w dniu 2-go Listopada na czele 6,000 prusaków twierdzę zajął. W rok później, z uwagi na ważność pozycyi tego miasta, Fryderyk II kazał Nysę wzmocnić i założyć jeden fort »pruski«. Już w roku 1758 Nysa jako bardzo obronna twierdza, stawiła opór oblegającym ją Austryakom, aż do chwili nadejścia odsieczy.

W roku 1769 w Nysie nastąpił zjazd Józefa II, cesarza niemieckiego, z Fryderykiem II, królem pruskim. W roku 1807 dnia 18-go Stycznia, pod murami Nysy, Francuzi z Bawarami stanęli obozem, a ku końcowi Lutego Vandamme rozpoczął oblężenie. Po długiej i dzielnej obronie, w dniu 15. Czerwca twierdza nyska rozwarła swe bramy i obrońcy jej w moc umowy odeszli z bronią w ręku. Po zawarciu pokoju Tylżyckiego (1807), w dniu 13-go Listopada 1808 r. do Nysy wkroczyły wojska pruskie, obejmując twierdzę ponownie w swe posiadanie. Twierdza nyska pod względem swej obronności tem się odznacza, iż w razie potrzeby okolica jej z trzech stron wodą zalana być może, tak iż dostęp do niej staje się bardzo trudnym.

FRASZKI.

* **Szczodry.** Wujaszku, śniło mi się dzisiaj, że od wujaszka dostałem 10 talarów.

— Tak? No, to abyś nie myślał, że jestem sknerą, pozwolę ci je zatrzymać.

* **Na zapas.** — Czego ty bijesz twego malca? Przecież on nic nie zbroił.

— Mam pilną robotę. Nie mogę czekać, aż co zbroi. Muszę korzystać z wolnej chwili.



* **W szkole.** — Czem jest twój ojciec?
— Nieboszczykiem.
— A czem był, zanim umarł
— Żywym.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 16-go Września 1897. Nr. 37.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

ŁOWY NA WILKA.

Dawniejszemi czasy kilkunastu myśliwych, dobrze uzbrojonych, zwykle wybierało się na wilki z prosięciem na wabika. W ogromnych saniach, przyrządzonych po temu umyślnie, cała drużyna strzelców na ławkach siadała, z tyłu sani stał jeden i gniótł prosiaka, ażeby kwikiem przywabić wilka, tymczasem na długim sznurku wiązka grochowin przywiązana i wleczona po ziemi, wyobrażała ciągnione prosie. Jak podobne łowy są niebezpieczne czasami, dowiedzie wypadek prawdziwy, zdarzony przed kilkunastu laty.

W Sandomierskiem, Czesław, młody ziemianin, zaprosił sąsiadów i strzelców, w liczbie ośmnastu, którzy na tak przygotowane sanie, zaprzężone czterema końmi, wsiadłszy, ruszyli na łowy. Każdy oprócz dubeltówki opatrzony był w parę pistoletów; kilka sztuk broni nabitej na zapas, za poradą starego strzelca wzięto na sanie. Z wesołym okrzykiem ruszyła ochocza drużyna myśliwych, wypiwszy niemało wina na pożegnanie i na zdrowie gospodyni domu. Żwawo ruszyły konie, a chrzęst śniegu gniecionego ciężkiemi saniami i kwik przerywany prosięcia ogłaszały przejazd tej zbrojnej, radosnej czeredy, ale im bliżej dojeżdżano lasu, ustawała gwarna z początku rozmowa, a jej miejsce zajmowała ciekawość ujrzenia dzikiego zwierza. Mieszało się może nieco i obawy, bo stary strzelec i doświadczony myśliwy opowiadał smutne powieści, które wszystkich czoła zachmurzyły.

— Będzie temu, — mówił — lat dziesięć, podobnie jak teraz wybraliśmy się na wilki, pięć dzielnych koni zaprzężono, wsiadło nas dwudziestu na sanie. Ale się pokazały ćmy wilków nieprzeliczone, bez wystrzału nawet uciekliśmy.

— Tchórzu, — zawołał młody Czesław, — siedzący blisko starego strzelca — we dwudziestu i obawiać się jeszcze.

Strzelec nagniótł silnie prosiaka, który przeraźliwie zakwiczał, po chwili odezwał się:

— Zła wróżba mój panie zuchu! prosię długim głosem zakwiczało.

— I cóż z tego? — zapytało kilku z uśmiechem.

— Bo tak było właśnie, — mówił stary strzelec, — kiedy szesnastu myśliwych wilcy zjedli, a ja jeden zaledwie uciekłem.

Na te słowa czy wiatr zimniejszy powstał, czy może i trwoga tajemna, ale wszystkich mróz przeszył.

— Pleciež brednie, stary gaduło, — odpowiedział Czesław trzebaby na to z tysiąc wilków.

— Było ich więcej, — odrzekł spokojnie — a dzięki gniadej klaczy, że mnie żywo uniosła, chociaż ogona mało wilcy nie urwali. Tak, tak, śmiejcie się panowie junaki, ale to szczera prawda, jak to, że żyw jestem.

Będzie temu ze dwadzieścia lat, z takim jechaliśmy prosiakiem. Wesoły, bo młody, pierwszy raz wybrawszy się na takie łowy, myślałem, że i samego djabła lękać się nie trzeba, kiedy nas tylu razem. Przecież wszystkich kości wilcy roznieśli po świecie, zginęli bez pogrzebu, a wiele wdów zostało i drobnych sierot.

Zaśnieżyło się niebo, wesołość znikła w tem gronie, sam Czesław popił z torby, bo wspomniał na swoją żonę i dwoje jak aniołków dziatek. Wszyscy zwrócili oczy na starego strzelca i mimowolnie poczuli jego wyższość.

— Jakże to było? — zapytało wielu razem.

Strzelec nie rzekł słowa, podniósł się z ławy, spojrzał w około. Śnieg drobny a gęsty nie dozwalał daleko doj-

rzeć; nagle odwrócił się, jakby odpowiadając na pytanie.

— Jak było, tak będzie, — rzekł i ponuro wskazał palcem.

Wśród śnieżnej zawiei z początku nic dojrzeć nie mogli.

— Co ci się przywidziało? ot śnieg na polu roztajał; to czerni się ziemia, — rzekł Czesław wpatrując się pilnie.

— Widzicie to pole, — mówił strzelec z cicha, a to nie pole, ale taka ćma wilków; stado, jak pole długie i szerokie. Już nas poczuli. W konie! bo inaczej zginiemy wszyscy.

— Strzelać — odezwali się niektórzy, — przecież tylu ludzi i broni.

— Cicho! — zawołał z gniewem strzelec, — usiąść na ławach, broń mieć w pogotowiu, ale nie strzelać. Strzelać! strzelać! wołacie, a cóż będzie z tego? zabijesz pięciu albo dwudziestu, a sto się na ciebie rzuci i pożre!

A wszyscy na groźne starego myśliwca słowa posiadali na ławach; konie, jakby poczuły, w chyżym biegu zaledwie dotykały ziemi.

— Jeżeli dostaniemy się prędzej na utarty gościniec, ocalimy się zdrowo. Rachujcie teraz panowie wilków, co to się wam strzelać zachciało.

Czesław spojrzał. Co zdawało się zdaleka wśród śnieżnej zamieci kawałem pola, była to gromada wilków, szły w gęstej masie, kilku tylko wybiegło naprzód, przy zmroku coraz większym błyskały ogniem oczy zajadłych i zgłodniałych wilków. Czesław usiadł na jednej ze strzelcem ławie, a ten z cicha rzekł do niego:

— Tego wilka, co najbliżej widzicie, zabić nie trudno; ale ten chyba strzeli, kto chce, by kości jego święta ziemia nie przykryła, ale żeby je zaszczerbiły zęby wilcze, a dzioby kruków szpik wydziobały. To wilczyca.

Tu przestał, jakby dokładnie wszystko objaśnił; nagle odwrócił głowę; widać było na jego twarzy bladość, usta zsiniały. W konie! na rany Chrystusowe! w konie! — zawołał.

Dobył kordelasa, ścisnął ryj prosięcia i przebił od razu; nie było słychać najmniejszego kwiku. Uniósł się z ławy i spojrzał w około, a widząc, że już blisko szeroka droga do wsi prowadząca wysadzona lipami, których jeno suche konary sterczały, przeżegnał się, porwał za nogi skrwawione prosię i z zamachem wyrzucił z sanek.

Wilczyca najbliżej pędząca zatrzymała się w biegu, porwała zdobycz i poczęła szarpać. Przyskoczyło wiele wilków, ale śnieżyca nie dozwalała rozpoznać, jak się dzieliły tak drobnym dla nich kąskiem. Wszyscy przeziębli od mrozu i wiatru, wlepili oczy w twarz starego strzelca, chcąc z niej wyczytać ocalenie lub zgubę. Woźnica z cicha rzekł:

— Już widać we wsi dzwonnicę.

Strzelec naszykował dubeltówkę.

— No, panowie, jeszcze dla nas nie wybiła ostatnia godzina; lecz trzymajcie się mocno, bo kto wypadnie z sanek, tego zostawiam na strawę wilkom, choćby to był mój brat rodzony! A teraz Macieju! — zawołał na woźnicę — co koń wyskoczy!

I woźnica trzasnął silnie biczem, a dzielne bieguny wyciągały się, prawie brzuchem dotykały ziemi, leciały jak na sokolich skrzydłach. Wiatr donosił szczekanie psów ze wsi; świeciły ognie przez małe okienka chatek; wystraszeni wzięli je za iskrzące oczy wściekłych wilków. Strzelec stał, trzymając się krzepko w saniach, odwiódł zamki u dubeltówki i zawołał głośno:

— Panowie! który może do mnie się obróci i ognia razem.

Zadrzała ziemia od huku strzałów, po nich usłyszano głuche wycie wilków.

— Ognia znowu! — krzyknął starzec i tak raz po razie grzmiały strzały, których echem było okropne wycie wilków.

Już blisko byli opłotków, a stado goniących wilków ani na chwilę się nie wstrzymało, psy ze wsi całej, jedne na dachach chlewów i obór, drugie skryte w budach, żałośnie wyły — zuchwalsze, które się na drodze pokazały, w oczach myśliwców rozszarpane bez znaku. Leciały sanie przez wieś... już są na dziedzińcu dworu, zkąd tak wesoło i radośnie wyjeżdżali. Zaledwie wpadli do dworu i drzwi zatarasowali, stado wściekłe napełniło dziedziniec. Ogromne kundle, wyżły, charty, przeszło dziesięć psów w jednej chwili wilcy rozszarpali. Strzelcy i domownicy rozstawiwszy się w oknach i na ganku, ciągłym ogniem razili. Blisko godzinę grzmiały strzały. Księżyc zmrok rozjaśnił, zajadła wilków gromada rozpierzchła się i znikła w nocnej pomroce.

Dawne miasto fenickie Berytos, dziś Bejrut.

Miasto portowe Bejrut lub Bajrut, inaczej Berut, jest stolicą tureckiej prowincyi w Syryi, a zbudowane zostało na miejscu bogatego niegdyś miasta fe-

nickiego, zwanego Berytos nad morzem Śródziemnem. Podczas wojen krzyżowych, port ten był ważnem stanowiskiem dla wojowników chrześciańskich, dążących do Azyi, w celu oswobodzenia grobu Chrystusa z rąk niewiernych. Potem przez długie wieki miasto było zaniedbane, zniszczone przez wojny i chyliło się coraz bardziej do upadku. Dopiero w pierwszej połowie naszego stulecia zaczęło się trochę podnosić, lecz znowu w roku 1840 zostało zbombardowane przez połączoną flotę angielską, austryacką i turecką. Obecnie Bejrut jest jednym z najgłówniejszych punktów handlowych w Turcyi azyatyackiej i liczy przeszło czterdzieści tysięcy mieszkańców.

Od strony morza miasto przedstawia się bardzo malowniczo; zbliska jednak traci wiele, gdyż ulice są wązkie, ciasne i niezmiernie brudne. Najciekawszą dzielnicą jest bazar, czyli część handlowa miasta. Bazar nie jest to jeden budynek, w którym mieściłyby się sklepy, lecz mnóstwo domów poprzerzynanych labiryntem wązkich i ciemnych uliczek, przedstawiających dla Europejczyka nader ciekawy i urozmaicony widok. Każda uliczka ma swoją osobliwość na jednej sprzedają tylko materye jedwabne, na drugiej hafty, którymi słusznie chlubią się kobiety na Wschodzie i w istocie prace wykonywane ich ręką dochodzą nieraz do takiej doskonałości, że nie wiadomo co podziwiać, czy wzorzystoć rysunku i dobór barw czy delikatność wykonania. Na innych uliczkach mieszczą się sklepy z sandałami, dalej sprzedają nargile, to znów wyroby mosiężne, klejnoty, skrzyneczki i rozmaite inne przedmioty. Stanowi to pewną dogodność, gdyż kupujący wszedłszy na uliczkę, na której znajdują się sklepy z żądanym przez niego towarem, może sobie dobrać to, czego żąda, gdyż jeśli nie w jednym to w drugim sklepie dobierze sobie towar podług gustu i upodobania.

Właściciele sklepów, zwyczajem wschodnim, siedzą z podwiniętemi nogami i paląc nargile, zachęcają przechodniów do kupna. Ale trzeba się z nimi mieć na baczności, gdyż cenią towar drogo i spuszczają z ceny po trochu; dopiero, gdy widzą, że kupujący oddala się, oddają nieraz tanio, bardzo drogo oceniony poprzednio towar.

»Gdy dopłynęliśmy do miasta, pisze jeden z podróżników, czarowny widok roztoczył się przed naszemi oczami: morze było spokojne, gładkie i błękitne jak wody jeziora. Na wybrzeżu wśród drzew i zieleni ukazywały się zabudowania miasta, i pośród których strzelały gdzieindziej ku niebu wysmukłe wieżyczki mineretów. W dali rysował się na widnokręgu łańcuch gór Libanu, na którego pochyłościach ukazywały się liczne wioski, otoczone kępami drzew. Lekki wietrzyk przynosił nam od strony lądu zapach rozlicznych kwiatów, a mianowicie kwitnących drzew pomarańczowych. Zdawało mi się, że zbliżam się do raju. Niestety jednak raj ten ma też swoje niedogodności, bo skoro zwiedziwszy miasto, chcieliśmy zwiedzić jego okolice, odradzono nam, abyśmy tego nie robili z powodu licznych band rabusiów, którzy uwijają się w okolicy. Niedawno podobno pochwycili jakiegoś angielskiego turystę i nałożyli na niego wysoki okup. Biedak musiał zapłacić, bo w przeciwnym razie rabusie pozbawiliby go życia. Władza ściga i chwyta nieraz występnych, jednakże nie może w zupełności przytłumić złego.

Praktyczne rady.

— **Leki na raka.** Bierze się kwicie nokietków, czyli paznokietków (calendula officinalis), po niemiecku ringelrose i smarzy w maśle niesolonem, przepuszcza się przez sitko włósiane. Maścią żółtą, która z tego powstaje, smaruje się chore miejsca. Można też kwicie moczyć w spirytusie na słońcu. Ekstrakt zastrzykiwać za skórę. — Można wreszcie suszyć kwicie, i pić herbatę z tego.

Rozmaitości.

* **O wybuchu wulkanu Mayon** na wyspach Filipińskich nadeszły teraz dopiero bliższe wiadomości z Manilli. Wulkan wznosi się w prowincyi Albay i jest jednym z słynniejszych i i niebezpieczniejszych na całym świecie. Szczyt jego wznosi się na wysokości 2734 stóp po nad powierzchnią morza, na zachód od Liboy i na półn.-zachód od Albay. Góra ma u stóp swoich 26 kilometrów obwodu. Widać Mayon ze znacznej odległości, służy on okrętom, przepływającym cieśninę San Bernardino, za rodzaj latarni morskiej. Kształt wulkanu jest lejkowaty. W dniu 30 Czerwca nadeszła wieść do Manilli, że wulkan wybucha. W Baracay wiele domów zostało zagrzebanych w popiołach. Mieszkańcy zdołali uciec. W Tabako skutkiem deszczu popiołów i lawy zaległy takie ciemności, że musiano przez trzy dni i noce palić światło i trzymać okna i drzwi szczelnie zamknięte Ulice miast Legazpi i Liboy zostały zupełnie zniszczone, mieszkańcy pouciekali w góry. To samo zdarzyło się w Maleliput. Liboy przedstawia jedno rumowisko; 115 trupów wygrzebano z pod gruzów. Straty materyalne nieoszacowane, krater zaczął wyrzucać lawę w dniu 23 Czerwca, najsroższy wybuch przypadł jednak na dnie 24 i 25. W całej prowincyi panuje popłoch, całe bogactwo tego kraju, plantancye kokosowe zniszczone. W Tabaco popiół zasypał mieszkańców w kościele podczas nabożeństwa. Wydobyto 400 ludzi z pod gruzów, w tem 250 trupów. Największe wybuchy Mayonu zdarzyły się w latach: 1616, 1765, 1766, 1800, 1827, 1834, 1845, 1857, 1865, 1870; ostatni był w roku 1881. Odtąd wulkan wciąż dymi. W prowincyi Albray są jeszcze dwa kratery: Isaroy i Bulusan; ale oba już prawie wygasły.

* **Niekorzystny zawód.** Pewien dziennikarz z Georgii, w Ameryce, postanowił »wycofać się z interesu« i w następujących słowach powody swoje wyłuszcza: »Dziecko się urodzi, doktor dostaje 10 dolarów a redaktor — 0 Dziecko się chrzci, pastor dostaje 4 dol., a redaktor, który tę ceremonię opisuje — 00. Dziecko wyrasta, żeni się, pastor dostaje 20 dol., redaktor, który przyjmuje udział w uroczystości, wymienia obecnych, opisuje toalety dam stylem barwistym, uwydatnia ich przepych, zasłania braki, nowopoślubionym życzenia składa — dostaje kawałek tortu, albo 000. Z czasem dziecko umiera, doktor dostaje 5—10 dolarów, pastor 4 dolary, przedsiębiorca pogrzebowy 25—100 dol., a redaktor pisze wspomnienie pośmiertne i dostaje 0000. Dla tego to redaktorem już być nie chcę.«

* **O wielkich kradzieżach klejnotów**, donoszą równocześnie z Karlsbadu i Francensbadu W Karlsbadzie okradziono złotnika Karola Dubrowsky'ego na »Alte Wiese«. Zdarzenie to wywołało wielką sensacyę, zarówno wśród mieszkańców Karlsbadu, jak wśród kuracyuszy. Przez cały dzień wczorajszy tłumy ciekawych otaczały lokal na »Alte Wiese«, gorąco rozprawiając o wypadku. Właściciel sklepu, Karol Dubrowsky, oblicza swe straty w skradzionych przedmiotach wartościowych na 45,000 zł. Sprawcą kradzieży ma być niejaki Władysław Piotrowski, który w sobotę wieczorem przybył do Karlsbadu, a w niedzielę rano, po wyłamaniu sufitu i skradzeniu klejnotów, opuścił Karlsbad. Piotrowski mieszkał w lokalu po nad sklepem.

Równocześnie i w Franzensbadzie wykryto kradzież, popełnioną na szkodę żony fabrykanta wagonów p. Weisera z Wiednia. P. Weiser odwiedził w sobotę swoją żonę, mieszkającą w Franzensbadzie w hotelu pod »cesarzem rosyjskim«. Oboje małżonkowie wyszli po południu razem z hotelu, aby przysłuchać się kapeli kąpielowej. Pani Weiser, ubrawszy na siebie kilka kosztowności, resztę schowała w ręcznej torebce na stole, w zamkniętym pokoju hotelowym. Gdy Weiserowie wrócili z promenady, spostrzegli, że torebka z kosztownościami znikła. Wartość skradzionych przedmiotów wynosi około 10,000 zł.

ZAGADKI.

1.

Pierwsze jest to leśne zwierzę,
Drugie na coś ci wskazuje,
Trzecie we Włoszech nurtuje,
A wszystko tam nazwę bierze,
Gdzie jesień koniec znajduje.

2.

1. Spółgłoska.
2. Ptak.
3. . . . . .
4. Owad.
5. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko dynastyi, która długo panowała w Polsce.

Rozwiązanie zagadki z Nr. 35:

1.

Niema złego coby na dobre nie wyszło.

2.

Poseidon.

Dobre rozwiązanie nadesłał pan Józef Pawlenka z Burowca.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.